

Światłość nad Polską

Świadectwo nawróconego księdza

Romana Mazierskiego



Urodziłem się w Polsce, kraju, gdzie około 92 procent mieszkańców przyznawało się - przynajmniej formalnie - do wyznania rzymskokatolickiego. Przyszedłem na świat w rodzinie typowo katolickiej. W wieku siedmiu lat zacząłem naukę w szkole powszechnej, gdzie mieliśmy też lekcje religii, prowadzone przez księdza, poświęcone niektórym historiom ze Starego i Nowego Testamentu oraz definicjom katechizmowym.

Serce spragnione Boga

W moim sercu zaczęło wtedy rosnać podwójne pragnienie: znaleźć się bliżej Jezusa i zdobyć większą wiedzę na temat Boga. Mógłbym to nazwać powołaniem Bożym, tyle że w owym czasie nie miałem pojęcia ani o tym, że to Jego wezwanie, ani o tym, jak można je wypełnić.

Nie mogłem szukać wskazówek w Słowie Bożym, gdyż Biblii nie posiadaliśmy. Do zakupu Pisma świętego nie zachęcano ani dzieci, ani dorosłych; co więcej, wyższe duchowieństwo szerzyło pogłoski, iż lektura taka może się okazać niebezpieczna, bo Pismo zawiera załączki herezji, które tylko Kościół jest w stanie rozpoznać, wybierając ustępy, jakie można bez szkody odczytywać na niedzielnej mszy. Co niedziela szkolni nauczyciele prowadzili nas do pobliskiego kościoła, ale ponieważ mszę odprawiano po łacinie, nie rozumieliśmy ani słowa. Długie lata serce pozostawało złażnione Boga i Jego prawdy.

Duchowe tortury

Podczas młodych lat katolika jest przynajmniej jedna chwila, w której ma on okazję zbliżyć się do Jezusa: uroczystość pierwszej komunii świętej. Niestety, w moim wypadku przyniosła ona tylko gorzkie rozczarowanie.

Czemu? Bo przed pierwszą komunią 8- i 9-letnie dzieci muszą iść do pierwszej spowiedzi, to zaś wymaga długich i starannych przygotowań. W trakcie półrocznych przygotowań ksiądz katecheta nie próbował nawet wlać w młode serca ufności i miłości do Jezusa; nie omieszkał natomiast straszyć nas i przerażać, raz po raz przypominając, iż nieodzownie trzeba wyznać w konfesjonale absolutnie wszystkie grzechy „śmiertelne”, bo w przeciwnym razie winni świętokradztwa na wieki trafimy do piekła. Z punktu widzenia rzymskiej teologii spowiedzi katecheta spisał się rzecz jasna dobrze, ale jakimż okrucieństwem jest odciskanie na młodziutkim umyśle nauki tak bezlitosnej, zdolnej złamać serce i do końca życia napawać przerażeniem.

Nie mieliśmy szans rozmyślać o spotkaniu z Jezusem, skupiając się na trudnym zadaniu zapamiętania wszystkich grzechów (nie umieliśmy ocenić, który jest na pewno śmiertelny, a który nie) i dokładnego powtórzenia ich księdzu. Była to istna tortura umysłu, dokonywana w atmosferze dojmującego lęku przed potępieniem wiecznym. Niektóre dzieci prosiły rodziców o przypominanie im grzechów, inne trawiły całe godziny na sporządzaniu długiej listy przewinień i kuciu jej na pamięć, ale nie sposób było pozbyć się obawy, iż w kluczowym punkcie spowiedzi o którymś zapomnimy. Niektórzy zabierali spis do kościoła i w konfesjonale usiłowali czytać ukradkiem, drżąc ze strachu, gdyż taka praktyka była zabroniona.

Strach ten pozostał w wielu sercach do końca życia; osłabiając i paraliżując wolność wyboru, doprowadził do ślepej uległości wobec duchowej dyktatury kościoła i duchowieństwa. Wystarczyło potem powiedzieć takiej osobie, że ma słuchać tylko kościoła, choćby i wbrew sumieniu, że nie wolno jej chodzić na „heretyckie” spotkania, gdzie głosi się niesfałszowaną Ewangelię, że nie wolno ani przez chwilę myśleć o opuszczeniu kościoła, bo za to grozi ekskomunika, a po śmierci wieczne potępienie. Doprowadziło to wiele dzieci do duchowego kalectwa, a nieraz przyczyniało się do chorób fizycznych, dręczących je do końca życia. Spotykałem ofiary takiego terroru religijnego, zawsze wywoływały one we mnie głęboki wstrząs.

Do seminarium

Po szkole powszechnej i gimnazjum musiałem postanowić o dalszych swoich poczynaniach. Wciąż słyszałem przyzywający mnie głos Boży i czułem pragnienie oddania Bogu całego życia. Jak jednak miałem tego dokonać? Uczono mnie, że jedyną drogą do Boga jest Jego jedyny prawdziwy Kościół: Kościół rzymski. Nie widziałem więc innego wyjścia jak zdecydować się na posługę kapłana w tymże jedynym prawdziwym kościele. Wszystkie inne kościoły ogłoszono fałszywymi, heretyckimi i antychrystowymi - a ja w to święcie wierzyłem.

Zapisałem się na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Lwowskiego. Studenci mieszkali w seminarium na wzgórzu, budowli przypominającej klasztor, otoczonej wysokim murem, zmałymi celami i długimi korytarzami. Zrazu było mi tam bardzo dobrze. Wszystko wydawało się inne niż świat zewnętrzny, jakby specjalnie pomyślane po to, aby zbliżyć nas do Boga i Zbawcy. Życie obracało się wokół dwóch spraw: czytań duchownych i studiów teologicznych. Obie miały - jak się zdawało - pogłębiać naszą więź z Bogiem przez Jego Syna Jezusa Chrystusa. Z młodzieńczym zapałem i ufnością przerabiałem wszystkie czytania duchowne, jakie nakazywał i zalecał Kościół; co dzień uczestniczyłem w jednej czy dwu mszach, rano przystępowałem do komunii, raz w tygodniu spowiadałem się. Gorliwie oddawałem się rozważaniom i modlitwom, brałem udział w nieszporach, odmawiałem różaniec i litanie, czytałem biografie kanonizowanych świętych i szczerze próbowałem ich naśladować. Wkrótce zyskałem sobie renomę jednego z najpilniejszych seminarzystów.

Rozterki kleryka

Wszystkie te wysiłki i „zasługi” nie zbliżyły mnie jednak do Zbawcy. Byłem rozczarowany; lecz przecież przede mną ktoś inny próbował już tych samych metod: apostoł Paweł, który przed nawróceniem jako wierny faryzeusz starał się osiągnąć osobistą sprawiedliwość własnymi wysiłkami, według nauki rabinów, wypełniając określone przepisy Prawa. To jednak nie pomogło mu pojednać się z Bogiem, jak szczerze wyznaje (3 rozdział Listu do Filipian). Nie pomogło również i mnie.

Klerycy częstokroć uczestniczyli w długich, ale przepięknych liturgiach w lwowskiej katedrze. Koncelebrował je arcybiskup bądź biskup w asyście

licznego duchowieństwa, odzianego w srebrzyste i złociste ornaty mieniące się drogimi kamieniami. Ołtarz główny, przyozdobiony kwieciami i migocący mnóstwem świec i świateł elektrycznych, woń kadzidła, powolne, pełne namaszczenia ruchy koncelebransów, średniowieczne śpiewy gregoriańskie - wszystko to tworzyło iście mistyczny nastrój, tak iż kościół wydawał się niejednemu prostaczkowi przedsionkiem Niebios. Ale z czasem spostrzegłem, iż poruszające obrzędy mają charakter czysto zewnętrzny i brak im Ducha. Nieraz kapłani wykonywali je tak, iż zamierałem ze zgrozy; nietrudno było pojąć, że sami nie wierzą w to, co robią. Podczas tych uroczystości często nawet wyższe duchowieństwo gawędziło szeptem, opowiadając sobie żarty, a nawet dowcipkując o akurat celebrowanych częściach liturgii. Czasem odprawiali liturgię pośpiesznie, jak urzędnicy znudzeni pracą i chcący co prędzej wyrwać się do domu. Wtedy przypominały mi się gorzkie słowa Pana, przekazane ustami Jego proroka: „... ten lud przybliży się do mnie usta swemi, a serce jego dalekie jest odemnie, a bojaźni, którą się mnie boją, z przykazań ludzkich nauczyli się” (Iz 29,13). Przechodził mnie dreszcz na myśl, iż ja sam mógłbym się kiedyś stać jak jeden z nich; na podobieństwo tego, o czym pisał jeden z naszych wielkich poetów: „Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy”.

Teologię definiuje się jako „naukę o Bogu”; by wiedzę tę osiąść, słuchaliśmy wykładów najwybitniejszych księży profesorów naszego uniwersytetu. Właśnie na zajęciach ze Starego i Nowego Testamentu pierwszy raz w życiu czytaliśmy i studiowaliśmy Biblię. Niektóre jej ustępy wykładowcy komentowali z wyjątkową pieczołowitością; używaliśmy zresztą tylko przekładu zatwierdzonego przez kościół, uzupełnianego na każdej stronie przypisami: oficjalną interpretacją kościoła. Nie wolno było czytać Pisma z pominięciem tych przypisów, tak aby nikt nie rozumiał go sprzecznie z intencją kościoła. Wkrótce spostrzegłem, iż przypisy raczej zaciemniają prostą wymowę Słowa, a bywa, że jej przeczą. Zaczęły mnie dręczyć wątpliwości; w końcu doszedłem do wniosku, że coś się mocno nie zgadza. Usiłując znaleźć wyjście z sytuacji badałem oficjalne doktryny kościoła, zwane dogmatami. I odkryłem, że niektóre wcale nie opierają się na Słowie Bożym, inne wręcz mu przeczą.

W rozterce udałem się po radę do ojca duchownego, który miał nas ukierunkowywać i pomagać w pokonywaniu trudności duchowych.

Wysłuchawszy mnie uważnie, dał taką odpowiedź: „Jak wiesz, w nauce naszego kościoła błędu być nie może, bo to jedyny prawdziwy Kościół Chrystusa na ziemi. Jeśli coś jest nie w porządku, to co najwyżej z twym sumieniem, w którym jako człowiek młody buntujesz się przeciw władzy kościoła. Taka pokusa duchowa często dręczy młodych studentów teologii”. Poradził, bym się tym nie gryzł i nie szukał rozwiązania problemu, ale starał się o nim zapomnieć.

Stosując się do rady, usiłowałem zapomnieć o wątpliwościach. Tłumiłem głos sumienia, które stale, acz na próżno, ostrzegało, iż coś jest nie w porządku. Duchowa walka toczyła się przez całe studia; aż zdawszy wszystkie egzaminy stanąłem przed perspektywą święceń kapłańskich. Nadszedł czas trudnej decyzji. Wątpiący i pełen złych przeczuć, rozważałem rezygnację; ale nie chcąc polegać na uczuciach, zwróciłem się do jednego z najpobożniejszych i najbardziej doświadczonych lwowskich księży. Otwarłem przed nim serce, pytając, co począć. Odparł: „Nie ma powodu, byś rezygnował ze święceń. Każdy miewa okresy zwątpień w naukę kościoła, ale to nie grzech, jeśli z nimi walczysz i starasz się je odrzucić. Tak czy inaczej po święceniach kapłańskich arcybiskup rychło porzysła was po parafiach. Będzie tyle do roboty, że nie zostanie ci ani chwili na myśli o wątpliwościach”. Rada podniosła mnie na duchu, przyjąłem zatem święcenia i zostałem kapłanem.

Rozterki kapłana

Po jakichś dwu tygodniach zostałem przez kancelarię arcybiskupa wysłany na mą pierwszą placówkę jako pomocnik wikariatu w jednym z miasteczek południowo-wschodniej Polski. Wikary widać uznał, że jestem za młody i za mało doświadczony, by pracować w mieście, toteż zlecił mi opiekę duchową nad chłopami z kilkunastu wsi należących do parafii.

Widziałem, że moi biedni wieśniacy nie są wykształceni, ale szczerze oddani kościołowi, przede wszystkim zaś wszelkimi sposobami zabiegają o zbawienie. Współczułem nieraz im i ich dzieciom tej łatwowierności, każącej wierzyć w każde słowo księdza, którego mieli czcić ponad wszystko jako pośrednika między nimi a Bogiem i namiestnika Chrystusa. Ze zbolałym sercem patrzyłem, jak księża umieją to wykorzystać, nie tylko wpajając wiernym średniowieczne zabobony, ale i strasząc ich wizjami piekła i czerpiąc z tej naiwności pokaźne zyski.

Nie tak traktował Jezus tłumy, które za Nim chodziły. Jego przykład skłonił mnie do współczucia tym ludziom, bo są „jak owce bez pasterza,” uciskane przez najemników. Pan dał mi zapal do pracy; sądzę, że to z Jego natchnienia w nauce i kazaniach trzymałem się blisko Jego Słowa. Czułem, że jeśli coś jest nie w porządku, to na pewno nie w Ewangeliach. Jego wzór uczył mnie też nie straszyć ludzi, zwłaszcza dzieci. Na religii ukazywałem Jezusa jako miłującego Przyjaciela, którego nie trzeba się bać: „Ale Jezus zwoławszy ich, rzekł: Dopuście dziatkom przychodzić do mnie, a nie zabraniajcie im; albowiem takowych jest królestwo Boże” (Łk 18,16).

Czasem zdawało mi się, że powierzone mi duszyczki naprawdę wiodę do Jezusa, samemu trwając jednak z dala. Zdązałem złą drogą, nie umiając znaleźć tej właściwej, do Niego. Pozostało mi jedno, które umiałem jako tako robić: modlitwa. Zamykałem się w pustym kościele popołudniami, gdy nikt tam nie zachodził, albo późnymi wieczorami, gdy księżycowa poświata sącząc się przez witraże rozpraszała ciemności. Padałem na kolana, wołając: „Boże, pokaż mi drogę z ciemności do Ciebie, powiedz, co jest złe, a co dobre”.

Modliłem się długie lata bez widocznej zmiany; rozterki trwały. Ale bywało, że miłosierny Pan dawał znać, że słyszy: Rozświetlał promieniem swej światłości ciemność duszy, i w świetle tym widziałem, co słuszne, bo oparte na twardej skale Jego Słowa, a co niesłuszne, bo wzniesione na ruchomych piaskach ludzkich nauk i tradycji. W świetle tym system kościoła katolickiego i jego duch narażał się na Boże potępienie.

Uratowana od piekła

Być może kilka przykładów pozwoli unaocznić, co mam na myśli przez „promień Bożej światłości”.

Jednego razu uboga chłopka przyprowadziła do mnie swą 16-letnią córkę, z płaczem skarżąc się na jej zachowanie

- Coś jej się stało. Przedtem była wesoła, teraz onicznym innym nie mówi tylko o piekle i że na pewno pójdzie do piekła.

Nigdy nie słyszałem o takim przypadku. Zdumiony, patrzyłem na dziewczynę: bardzo blada, dziki wzrok. Opętana? Zadałem jedno czy dwa pytania; nie odpowiedziała, za to z niezdrowym uśmiechem zaczęła mówić o piekle. Pomyślałem, że na szczęście średniowiecze minęło, bo zapewne spłonęłaby na stosie jako czarownica. Ale co robić? Zwróciłem się do matki:

- A co pani o tym sądzi? Kiedy i jak się to zaczęło?

Z początku nie chciała nic mówić; dopiero potem zrozumiałem przyczynę: bała mi się narazić, ponieważ byłem księdzem. Kiedy jednak wyjaśniłem jej stanowczo, że nie poradzę na to nic, póki nie będę wiedział wszystkiego, zrazu z wahaniem, potem już śmielej opowiedziała całą historię.

- To było parę miesięcy przed przyjazdem księdza. Jedni zakonnicy prowadzili tu misje. Całe dwa tygodnie kościół był pełen, przychodzili nie tylko miastowi, ale ze wszystkich wiosek, z daleka. Córka chodziła na wszystkie nauki i zasłuchiwała się w nie. A oni mówili tylko o piekle, co to czeka na grzeszników. Jak odjeżdżali, córka kupiła u nich książkę i co dzień ją czyta. A tam wciąż ino to samo: zatracenie i piekło!

Skończyła opowieść płacząc, a ja już wiedziałem, co się stało. Jej córka była uczciwą dziewczyną, bo szczerze przyznała przed sobą, że jest grzesznicą. Ale spotkawszy zakonników, wyglądających w jej oczach zapewne na aniołów z nieba, głoszących piekło grzesznikom i opisujących najróżniejsze męki, doszła do logicznego wniosku: jako grzesznica, jest skazana na piekło. Straszliwe podejrzenie potwierdziła książka „misyjna”, zresztą zatwierdzona przez biskupa. Jakie katusze musiała cierpieć, nim wykształciła w sobie ten straszny uśmiech i stanęła na progu choroby psychicznej! Patrząc na tę jedną z licznych ofiar terroru kościoła, który reprezentowałem i któremu służyłem, czułem się współwinny. Wiedziałem, że muszę coś zrobić, aby uleczyć rany zadane przez duchową inkwizycję.

Byłem tak wstrząśnięty, iż nie zwlekając poradziłem:

- Proszę zabrać córkę do domu i od razu rzucić książkę w piec i spalić, żeby dziecko do niej nie zaglądało. Potem proszę ją zawieźć do... [podałem nazwę najbliższego dużego miasta] do szpitala dla umysłowo chorych i opowiedzieć lekarzom to, co mi pani mówiła. Córka będzie tam musiała pewnie jakiś czas zostać, a my będziemy się modlić o jej uzdrowienie.

Odeszły, a ja często wspominałem w modlitwach nieszczęsną dziewczynę.

Minęło wiele miesięcy, aż jednego dnia kobieta ta znów pojawiła się u mnie z córką. Przyszła podziękować za radę.

- Zrobiłam wszystko, jak ksiądz kazał, i już odesłali ją do domu, zdrową - powiedziała.

Istotnie wyglądała lepiej, w oczach nie było już szaleństwa. Rozmawiałem z nią i odpowiadała dość rozsądnie, nie wspominając o piekle. Ale w oczach widziałem dziwny, najgłębszy smutek, jak gdyby milcząco pytała: „Czy jestem zbawiona, czy potępiona?” To było bardzo ważne pytanie - i dla niej, i dla mnie, i dla Ciebie. Od odpowiedzi na nie zależało nie tylko jej zdrowie, ale i życie wieczne. Zacząłem więc cierpliwie tłumaczyć biedactwu, że nasz Pan Jezus Chrystus przyszedł nie po to, by skazać nas na piekło, mimo że na to sobie zasłużyliśmy.

- Przyszedł, żeby ciebie zbawić. Po to ofiarował się za ciebie na krzyżu, przelał krew i umarł, abyś mogła być razem z Nim w niebie.

Kiedy to mówiłem, jej twarz, powoli niby promienie słońca, rozświetlał radosny uśmiech. I pozostał tam, jako znamię dziecięcia Bożego, które złożyło ufność w Bogu. Opadły kajdany strachu przed piekłem, jakimi spętali ją niegdyś owi zakonnicy, i dziewczyna wraz z matką wróciła do domu w pokoju i wolności dziecka Bożego.

Ofiary strachu

Ileż to razy Pan otwierał mi oczy na takie przypadki: zastraszone w dzieciństwie wizją wiecznego potępienia najwartościowsze osobowości o wrażliwym sumieniu przez lata żyły w psychozie lęku. Ludzie ci co tydzień, nieraz i co dzień, chodzili do spowiedzi, godzinami wyznając

spowiednikom grzechy i okoliczności ich popełnienia. Opuszczali konfesjonał wciąż pełni wątpliwości i lęku, że z tej czy innej przyczyny spowiedź okaże się nieważna, więc gdy umrą, pójdą do piekła. Ludzie tacy to prawdziwe utrapienie spowiedników; przygotowując się do kapłaństwa klerycy uczą się specjalnego postępowania z osobami cierpiącymi od „skrupułów”. Nic jednak nie jest w stanie uspokoić nieszczęśników co do tak istotnej sprawy: wiecznego zbawienia.

Historia dziewczyny uleczonej z lęku ufnością do Zbawcy przypomina mi dużo tragiczniejsze dzieje innej osoby. Jej obraz do dziś staje mi przed oczyma, ilekroć na wakacjach zajeżdżam do rodzinnego miasta. Odwiedzając rodziców, miałem raz smutną okazję spotkać kuzyna, z którym chodziłem do szkoły powszechnej, a po lekcjach razem z innymi psociliśmy w sadzie. Dwa lata młodszy ode mnie, bystry, pupilek nauczycieli, po przygotowaniach do pierwszej spowiedzi i po pierwszej spowiedzi zmienił się nie do poznania. Przestał bawić się beztrosko, zaszywając się w ustronnych zakątkach sadu. Czasem niechcący wpadaliśmy na niego - stał pod drzewem szepcząc coś do siebie. Matka pytała: „Co tobie, synu? Czemu gadasz sam do siebie?”, ale on milczał. Przestał być celującym uczniem, choć mozolił się nad lekcjami nieraz do późnej nocy. Był tak przerażony, iż nie umiał skupić się nad zadaniem.

Gdy dorastał, lęk rósł wraz z nim, aż posiadał go bez reszty. Kuzyn nie zdołał ciągnąć rozpoczętych studiów; zaczynał pracę kolejno w kilku miejscach, ale z każdego rychło go zwalniano. „Nie umie skupić się na robocie” - narzekali pracodawcy. W dorosłym wieku żył więc z wdowiej renty matki. Nie mogli mu pomóc najwybitniejsi psychiatrzy. Po raz ostatni widziałem go tuż przed wybuchem II wojny światowej; miał wtedy około 35 lat. Nocami wystawał na środku swego pokoju, nie gasząc światła i patrząc na wprost przerażonym wzrokiem.

Hitlerowcy wywieźli go do obozu. Pod czujnym okiem siepaczy trzeba było ciężko harować. Wysiłki kuzyna nie mogły ich zadowolić, a władz obozowych nie obchodziło, iż człowieka tego paraliżuje strach uniemożliwiając pracę. Bito go niemiłosiernie, aż po paru miesiącach zmarł. Taki był koniec niegdyś szczęśliwego chłopca, dumy i nadziei swych rodziców, do czasu, gdy jego wrażliwy umysł uległ terrorowi Rzymu.

Mimo tych przeżyć i mimo wyraźnych rozbieżności między systemem rzymskim a Ewangelią Jezusa Chrystusa dalej uważałem, że to jedyny Kościół Chrystusowy na ziemi. Tragiczne przypadki lekceważyłem, biorąc je za przewinienia konkretnych księży, którzy albo stali się nadgorliwi w swych wysiłkach zawładnięcia duszami i sumieniami (jako „bardziej katolicy niż sam papież”, gotowi użyć nawet niecznych środków, by osiągnąć „zbożny” cel), albo też stracili wiarę i jak karierowicze czysto automatycznie wypełniali oficjalne obowiązki.

Czasami z przerażeniem myślałem, że blisko mi do tej drugiej grupy. Ale Pan nie dał mi stoczyć się w otchłań, choć wiele i długo musiał się zmagać z mym uporem. Oświecał mnie swym cudnym światłem, ukazując, co dobre, a co złe. Trwało to długie lata, ale Jego wskazówki były tak wyraziste i ważne, że na zawsze pozostały mi w pamięci.

Olśnienie

Zdarzyło się to jednego ranka na przedwiośniu, w typowy w Polsce szary, mokry dzień przeplatający śnieg z deszczem. Właśnie wróciłem do domu po odprawieniu porannej mszy, gdy zapukano do drzwi i do środka wszedł pewien woźnica.

- Pojedzie ksiądz z wiatykiem? Człowiek kona - poprosił. - Już jadę - odparłem i poszedłem do kościoła po Przenajświętszy Sakrament i wszystko, co niezbędne w tej sytuacji.

Za kilka minut podskakiwałem już na niewygodnym słomianym siedzeniu chłopskiej furmanki. Gdy jechaliśmy ulicami miasteczka, furman dzwonił dzwoniem, a ludzie klękali chyląc głowy przed Hostią, co było powszechnym zwyczajem w kraju, gdzie większość stanowili katolicy.

Zajechaliśmy przed chałupkę na skraju miasteczka; wszedłem do ubogo urządzonej izby, tak niskiej, iż musiałem schylić głowę, by nie uderzyć w sufit. Musieli tu mieszkać bardzo biedni ludzie. Pośrodku stało wielkie łoże, wysłane słomą miast materaców i nakryte białym prześcieradłem. Na nim leżał konający. Nie był stary; liczył zdaje się 46 lat, ale wyglądał na bardzo wycieńczonego - chorobą, może biedą, ciężką pracą? Nie było czasu na pytania, spostrzegłem bowiem, iż nie zostało mu wiele czasu. Leżał na plecach, wpatrując się w sufit szeroko otwartymi oczyma i ciężko

dyszając. Trzeba się było śpieszyć z ostatnim namaszczeniem. Zacząłem do niego mówić, chcąc przygotować go do spowiedzi i udzielić mu rozgrzeszenia, komunii i ostatniego namaszczenia. Przerwano mi jednak.

- Niech się ksiądz nie gniewa, ale on chyba nie słyszy. Jest nieprzytomny - odezwala się żona. Stała oparta o ścianę i gorzko płakała.

„Cóż” - pomyślałem - „kobiecina może się mylić, słuch mu się tylko pogorszył”. Krzyknąłem mu prosto w ucho:

- Przyszedł ksiądz! Przypomnij sobie grzechy i wyznaj mi!

Nie drgnął, nawet nie ruszył głową. Widać stracił słuch. „Oczy otwarte... może widzi?” - pomyślałem. Pragnąc dotrzeć do jego duszy, zanim opuści ten świat, i ostatnim namaszczeniem zadbać o jej zbawienie, stanąłem w nogach łóżka naprzeciw głowy konającego, w nadziei, że spojrzy ku mnie i na widok czarnej sutanny, białej koloratki i stuły pojmie, że to ostatnia szansa na wyznanie grzechów i rozgrzeszenie. Czekałem, i czekałem, ale nie popatrzył; widać stracił i wzrok. Postanowiłem spróbować przez zmysł dotyku. Wyjąłem z torby mały krucyfiks i lekko przycisnąłem mu do ust, licząc, że chory da znak, iż jest świadom, co się dzieje, i ucałuje krzyż. Ale to nie nastąpiło. Sprawa była beznadziejna. Stałem u łóża śmierci z całą moją władzą, z mocą zbawiania dusz i otwierania niebios - a nie mogłem zrobić nic. Wiedziałem co prawda ze studiów i zaleceń kościoła, iż mogę udzielić rozgrzeszenia warunkowego, mającego ważność i bez spowiedzi, ale pod warunkiem, że przed utratą świadomości chory szczerze żałował za grzechy. Cóż jednak, jeżeli nie żałował? Teologowie orzekliby, iż sam jest sobie winien. Jeśli zaś był w stanie grzechu „śmiertelnego”, to takie rozgrzeszenie warunkowe i tak by nie pomogło, i człowiek ów poszedłby do piekła. A przed tym chciałem go uchronić. Miałem dość kłopotów z własną duszą i za nic w świecie nie chciałem odpowiadać za potępienie biedaka.

Stałem tak, przybity, choć wyposażony w arsenał środków, jakie posiada kościół, by ratować ginących. Okazały się niewystarczające, niepewne. Bezradnie patrzyłem na wychudłą, ziemistą twarz. Coś mnie uderzyło: usta się poruszały! Ciągle. Czyżby człowiek ten coś szeptał? A jeśli tak, to co? Ze swego miejsca nie słyszałem, dopiero gdy podszedłem, nachyliłem

się i wytyczyłem słuch, rozpoznałem słowa: „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mego”. Słowa, które na krzyżu wypowiedział Pan Jezus, umierając za zbawienie każdego, „kto weń wierzy”, by „nie zginął, ale miał żywot wieczny” (J 3,16)! Konając na krzyżu, oddawał Chrystus ducha w miłujące ręce Ojca, ze słowami tej modlitwy: „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mego”. Teraz zaś ów człowiek, który nic już nie widział i nie czuł, nieświadomy, w agonii, gasnącym szeptem powtarzał: „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mego”.

Z tymi słowami na ustach umarł.

Kościół i jego obrzędy nie umiały ocalić jego duszy, lecz mimo wielkiej być może jej grzeszności Pan dał mi przekonanie, iż człowiek ów nie potrzebuje rozgrzeszenia, warunkowego ani bezwarunkowego, nie potrzebuje rytuałów i sakramentów, nie potrzebuje do zbawienia pomocy kapłana - bo zbawiła go wiara w jedyne prawdziwego Kapłana i Zbawcę, Jezusa Chrystusa. Wiara ta musiała być obecna w jego życiu od dawna, w ciężkim trudzie i w tej ostatniej chorobie, pocieszając go i pokrzepiając, tak że nawet w agonii ufna dusza zdołała przemóc nieświadomość i modlić się: „Ojcze, w Twe ręce...”

To była najlepsza lekcja teologii. U tego łoża śmierci Pan pokazał mi, że zbawienie zależy nie od ludzkich wysiłków, rytuałów i dogmatów, ale od ofiary Jezusa na krzyżu i naszej wiary w Niego, a przez Niego w Ojca w niebie. Już dużo później, po nawróceniu, znalazłem w Biblii potwierdzenie tej prawdy: i w Starym (Ha 2,4: „sprawiedliwy z wiary swej żyć będzie”), i w Nowym Testamencie (Rz 1,17: „jako napisano: Że sprawiedliwy z wiary żyć będzie”). To objawienie rozbiło w drobny mak mą wiarę w rzymski dogmat o automatycznej (ex opere operato) mocy rytuałów i sakramentów. Jakie to szczęście, że zbawienie nasze nie zależy od niepewnych i nie zawsze dających się zastosować czynności, ale od miłosierdzia Ojca, jakim obdarzył nas w najwyższej ofierze swego umiłowanego Syna.

Kryzys

Ale ja uparcie trwałem w „jedynym prawdziwym kościele”; aż wreszcie Pan odpowiedział na me nieustające modlitwy dotkliwie mnie uderzając: Zapadłem na zdrowiu, nawaliła lewa nerka. Mimo troskliwej opieki

medycznej mój stan się pogarszał; w końcu, po półtora roku terapii, odesłano mnie do wybitnego specjalisty, który po uważnym badaniu orzekł, iż leczenie było błędne i jeśli mi życie miłe, muszę się natychmiast poddać operacji. Poszedłem więc do szpitala, nie przypuszczając, jak długi i trudny będzie to zabieg. Obudziwszy się po wszystkim, byłem tak słaby, iż ledwie mogłem się ruszyć.

Nie chciałem już żyć. Moje życie zdało mi się zupełnym fiaskiem, jednym wielkim błędem. Nie umiałem znaleźć drogi do Pana. Mając wszystkiego dość, doszedłem do wniosku, że jest tylko jedno rozsądne wyjście z mego położenia: śmierć; wyjście nietrudne, bo już i tak znajdowałem się na „liście zagrożonych”, a doktor nawet w nocy przychodził sprawdzać, czy żyję. Zobojętniałem; odmawiałem przyjmowania leków. Wyczekiwałem śmierci, wyzwolicielki z duchowych tortur.

Kiedyś na Sali zjawiło się kilku mych krewnych. Ktoś spytał, czy modliłem się o uzdrowienie. Zaprzeczyłem. Zdumieni, jęli mnie wręcz błagać, bym to uczynił. Nie mogłem im tłumaczyć, że nie chcę już żyć, więc obiecałem pomodlić się o to; zrobiło mi się żal, gdy tak szczerze martwili się moim stanem. Także lekarz się rozsierdził na wieść, iż nie przyjmuję leków; musiałem przyrzec, że będę łykał wszystkie. Dotrzymałem słowa, choć wcale nie miałem na to ochoty. Prosiłem Pana, by uzdrowił mnie tylko pod warunkiem, że gruntownie zmieni moje życie, a w przyszłości użyje mnie zgodnie ze swą wolą.

Modlitwa została wkrótce wysłuchana. Stan mego zdrowia polepszał się z dnia na dzień, tak iż dziwili się lekarze, przyznając mi po cichu, że właściwie nie mieli nadziei na powrót do zdrowia. Po dwumiesięcznym pobycie w szpitalu wypisano mnie. Jeszcze mocno osłabiony, od razu zabrałem się do roboty, głowiąc się, w jaki też sposób Pan zdoła uzdrowić moją duszę i użyć mnie według swej woli. Odpowiedź nadeszła po dwóch latach, gdy zmagania w mojej duszy stały się wręcz nie do zniesienia. Po 15 latach posługi kapłańskiej w kościele katolickim pojąłem, że jestem w niewłaściwym miejscu.

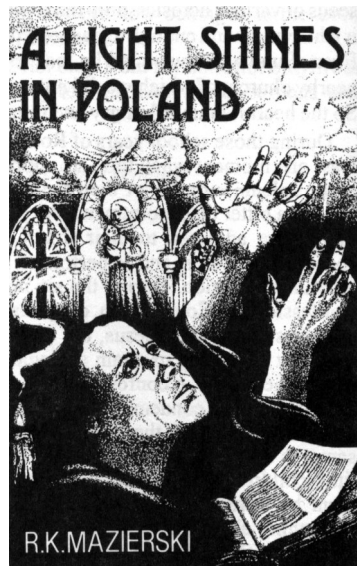
Przełom

Po wszystkich objawieniach udzielanych mi przez lata na końcu Pan postawił mnie przed dylematem: Mogłem pozostać w kościele

rzymskokatolickim, gdzie się urodziłem i przyjąłem święcenia kapłańskie, mogłem zachować wszelkie związane z tym przywileje, respekt ludzi i przełożonych, mogłem robić obiecującą karierę w hierarchii kościelnej, tracąc jednakże zupełnie wiarę i szansę na związek z Jezusem. Albo też mogłem opuścić ten kościół i jego kapłaństwo, błędne, bo nie zbudowane na Jego Słowie, a oddać Mu się całkowicie.

Jeśli ktoś sądzi, że zdecydowałem się z dnia na dzień, to myli się. Nie umiałem postanowić od razu, za słaby i za bardzo wystraszony; od dzieciństwa wpajano mi przecież, iż „poza tym jedynym Kościołem nie ma zbawienia”, a każdy, kto kościół ów opuści, pójdzie do piekła, gdzie najgorsze męki obmyślono dla ekskomunikowanych księży. Wybór takiego losu w kraju katolickim, jak Włochy, Hiszpania czy Polska, równa się w oczach rodziny i otoczenia piętnu zdrajcy nie tylko kościoła, ale i narodu, bo „prawdziwy Włoch, Hiszpan i Polak to katolik”. Trzeba przygotować się na swoisty bojkot społeczny, a w najlepszym razie- na utratę przyjaciół i znajomych. To nie zachęcało do takiej decyzji. Z drugiej strony wiedziałem, że to ostatnia szansa, jaką daje mi Pan. Jednak nie umiałem zdobyć się na to, aby ją wykorzystać. Konflikt sumienia trwał jeszcze około roku. Mogłem już tylko jedno: modlić się. „Panie, uczyni coś, bo jestem słaby. Umocnij mego ducha, pomóż!” Dniami i nocami wołałem do Niego z głębi serca.

I Jego łaska zwyciężyła. Dał mi dość odwagi, bym posłuchał Jego wezwania, tak że nie trapiłem się już cierpieniem, jakie mogło mnie wskutek tego czekać. Zaufałem Mu bez reszty, nigdy tego nie żałując. To On dokonał we mnie nawrócenia, nie ma w tym mojej zasługi.



Przedwieczny wydobył mnie z ciemności i obdarzył błogostawioną wolnością dzieci Bożych.

Co było potem? Wielekroć proszono mnie, bym opowiedział o miłosierdziu, jakie Pan mi okazał wiodąc mnie ku Sobie. By opisać tę nieskończoną troskę, dobroć i błogostawieństwa, jakimi obdarzał mnie po nawróceniu, musiałbym napisać książkę. Może kiedyś to zrobię, aby oddać Mu całą chwałę. (Roman Mazierski faktycznie napisał książkę: *A Light Shines in Poland* [Światłość nad Polską])

przyp. tłum.). Zakończę stwierdzeniem, że wszystkie duchowe problemy, niepewność i strach znikły na dobre. Z Panem jestem szczęśliwy jak nigdy przedtem. I w tej szczęśliwości modlę się za wszystkich, którzy wciąż tkwią w tej samej ciemności, w której tkwiłem niegdyś ja. Zanim wybawił mnie Pan.

Roman Mazierski, nawrócony ksiądz

Roman Mazierski urodził się w 1899 roku w Polsce i zmarł w 1959 roku. Niniejsze świadectwo zostało opublikowane jeszcze za jego życia, pod koniec lat 50., przez Evangelischen Allianz. W 1982 roku ukazało się jego nowe wydanie nakładem wydawnictwa „Mayflower Christian Books”. Nie wiemy, czy Roman Mazierski zdążył jeszcze napisać wspomnianą powyżej książkę o licznych przejawach łaski Bożej w swoim życiu.

(Przekład całego świadectwa: Aleksandra Czwojdrak i Meciej Wierszyłowski. Opublikowane w książce „Daleko od Rzymu...” (Bennett/Buckingham), Warszawa 2004). Tekst w załączniku został przetłumaczony z języka niemieckiego za pomocą DeepL.com (wersja darmowa).

Wykorzystano polskie tłumaczenie Biblii zatytułowane „Biblia Gdańska (1881)”.